

Dawni profesorowie: Roman Pollak, Zygmunt Szweykowski i Jerzy Ziomek

Seweryna Wyśtouch

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
ORCID: 0000-0001-5557-5299

Nie mam wątpliwości, że o kształcie powojennej poznańskiej polonistyki zdecydowali trzej profesorowie: **Roman Pollak** (1889-1972), **Zygmunt Szweykowski** (1894-1978) i **Jerzy Ziomek** (1924-1990). Pollak i Szweykowski należeli do generacji, która habilitację zdobyła jeszcze przed wojną (Pollak w Krakowie, Szweykowski we Lwowie) i która swe losy związała z Poznaniem. Obaj mieli za sobą piękną kartę okupacyjną – działali na tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich, który – stworzony przez pracowników Uniwersytetu Poznańskiego wysiedlonych przez Niemców – powstał w Warszawie w listopadzie 1940 i działał do 1945 roku. Kształcił magistrów, a nawet nadawał tytuły doktorskie i habilitacyjne (doktoraty na UZZ zdobyli Gerard Labuda i Kazimierz Budzyk). Pollak pełnił najpierw funkcję prorektora i dziekana Wydziału Humanistycznego UZZ (1940-1942), później rektora (1943-1945)¹, a Szweykowski – dziekana (1942-1944). Ale podczas studiów nie mieliśmy o tym pojęcia. Byli dla nas przedstawicielami dawnej, szacownej, przedwojennej polonistyki. Obaj starzy profesorowie odeszli na emeryturę w latach 60., ponieważ nowa ustawa o szkolnictwie wyższym wprowadziła bezwzględną granicę wieku i zmuszała 70-latków do pożegnania z dydaktyką. Pollak wykształcił budzących podziw erudycją i znajomością łaciny staropolan (Tadeusz Witczak, Alojzy Sajkowski), Szweykowski – zespół „dziewiętnastowiecznych” genetyków (Jarosław Maciejewski, Edward Pieścikowski, Zofia Trojanowiczowa), a także historyków teatru (Zbigniew Raszewski, Zbigniew Osiński). Młodszy od nich o trzy dekady Jerzy Ziomek stworzył poznańską szkołę teoretycznoliteracką (Edward Balcerzan, Janina Abramowska, Stanisław Barańczak i wielu innych). Ponieważ studiowałam w latach 1958-1963, miałam okazję uczestniczyć

¹ Portrety rektorów tajnego UZZ – Ludwika Jaxy-Bykowskiego i Romana Pollaka – wiszą w gabinecie rektora UAM. Obaj zostali sportretowani w „cywilnych” ubraniach, bez rektorskich insygniów.

w zajęciach wszystkich trzech profesorów i poznać ich ze studenckiej ławy, a nie tylko z obowiązkowej lektury.

Groźny profesor Pollak

Profesor Pollak prowadził wykłady ze staropolszczyzny dla I roku. Budził grozę, bo nikt na jego wykładach nie mógł czuć się bezpiecznie. Szczupły, o ascetycznej twarzy, szybkim, energicznym krokiem przemieszczał się wzdłuż sali i palcem wskazywał delikwentów do odpowiedzi. Zaczynał od rekapitulacji poprzednich zajęć i biada, jeśli ktoś nie przeczytał notatek lub nie spamiętał tego, co było. Denerwowała go bardzo ignorancja i niewiedza. Wymyślał i wysyłał nas na farmację lub na hodowlę – te dwie dziedziny, jak widać, nie cieszyły się jego szacunkiem. A w toku wykładu także nie dawał nam spokoju i pytał o rzeczy najrozmaitsze: czy Potocki był w Mosinie? – był – dowiedzieliśmy się – i chorował tam na tyfus. Czy widział Pan ołtarz Wita Stwosza? Nie?? *Per pedes! Per pedes apostolorum!* Nigdy nie było wiadomo, kogo i o co zapyta.

Po pierwszym semestrze zdawaliśmy pisemne kolokwium ze średnio-wieczna. Dwa obowiązkowe podręczniki, jedyne jakie wówczas mieliśmy do dyspozycji: Romana Pilata *Historia literatury polskiej od czasów naj-dawniejszych do 1815 r.* oraz Aleksandra Brücknera *Literatura religijna w Polsce średniowiecznej*, wydane grubo przed wojną (w latach 20. zeszłego wieku!), dostępne były tylko w czytelni Biblioteki Uniwersyteckiej. A dostać się do czytelni wcale nie było łatwo. Przed sesją pękała w szwach i najpierw trzeba było w kolejce czekać na numer (bo miejsca były numerowane), a później walczyć o książkę, która mogła być akurat w czytaniu... Podobnie było z wydaniem Biblioteki Narodowej, stare i zaczytane (nowych jeszcze nie było) udostępniano tylko w czytelni, toteż spędziliśmy tam pół życia. Końcowy egzamin z literatury staropolskiej cała setka studentów polonistyki zdawała u Profesora Pollaka. Był to poważny egzamin i zdaje się, że Profesor bardzo się starał, żeby nie denerwować pytanych. Jeden z kolegów opowiadał, że na egzaminie powiedział ewidentne głupstwo na temat arian. Reakcja egzaminatora była gwałtowna: profesor poderwał się na równe nogi i – siadł. Nie skomentował „bomby” i nawet pechowcowi egzamin zaliczył.

Myślałam po pierwszym roku, że na zawsze pożegnałam stresującą staropolszczyznę i groźnego Profesora, a tu na drugim, na ćwiczeniach z literatury romantycznej, zamiast osoby wyszczególnionej w planie zajęć zjawił się w zastępstwie sam Profesor Pollak i przez cały semestr analizował z nami *Sonety krymskie!* Uczył rzetelnej, filologicznej analizy i był pierwszym, który pokazał nam pracę z tekstem. Zaczęliśmy oczywiście od porównania kilku redakcji *Stepów Akermanskich*. Wymagał, żeby każdy student miał przed sobą przepisany tekst utworu (nie było jeszcze ksera!) i żeby się do analizy przygotować. Denerwował się, jeśli przyłapał ignoranta

i wysyłał go... na hodowlę. Toteż zajęcia, mówiąc delikatnie, nie należały do miłych. I na tych stresujących zajęciach zdarzyło się coś niezwykłego. Isia Dudzińska² ośmieliła się nie zgodzić z Profesorem! Inaczej zinterpretowała jakiś fragment, on wyjaśnił, że się myli, a ona, nieprzekonana, odpała: „co chciał poeta powiedzieć, to wie tylko on sam”. Nagle przy okazji filologicznych dociekań wyrósł ciekawy problem intencji pisarza, ale nie został przez Profesora podjęty, nie spowodował szerszej dyskusji. Nie wyszliśmy poza użyteczną skądinąd tekstologię. Za to wieczorem w akademiku dziewczyny nauręgały Isi, że upierając się przy swoim zdaniu, okazała brak szacunku i że sprawa może mieć dla niej przykre konsekwencje. Traf chciał, że następnego dnia spotkała się z Profesorem Pollakiem w drzwiach dziekanatu. Nogi się pod nią ugięły i wydukała słowo „przepraszam”, a Profesor wcale nie czuł się obrażony i ku jej zdumieniu rzekł: „Pani jak amerykańska studentka. Tak trzymać!”

Jak się okazało, był to ostatni rok pracy Profesora na polonistyce. Nie otworzył już seminarium magisterskiego dla naszego roku, odszedł na emeryturę. Można go było jeszcze spotkać tylko w Bibliotece Uniwersyteckiej.

Profesor Szweykowski - nauczyciel doskonały

Profesor Szweykowski, autor monografii o Bolesławie Prusie, stanowił przeciwieństwo Pollaka. Stonowany, kulturalny, życzliwie uśmiechnięty, zawsze nam się z Prusem utożsamiał. Prowadził wykład monograficzny (dla III roku) o Sienkiewiczu przy pełnej sali, bo chodzili na niego ludzie także z wyższych lat. Mówił emocjonalnie, zapalał się i gromił Sienkiewicza za płycizny filozoficzne i psychologiczne, a przede wszystkim za pozorne przełomy duchowe Kmicica, Winicjusza i innych pomniejszych bohaterów. Poloniści wychowani na Sienkiewiczu bardzo przeżywali jego wykłady, bo burzył stereotypy i czytelnicze mity, pokazując „kuchnię literacką”. Profesor opracował sobie dwa cykle wykładów: obok Sienkiewicza - wykład o XIX-wiecznym dramacie *Od Fredry do Bałuckiego* i wygłaszał je rok po roku na przemian, co bardzo było dla nas korzystne - można było „na Szweyka” chodzić dwa lata z rzędu. Później doszedł trzeci cykl - *Twórczość Bolesława Prusa*, w związku z przygotowywaną reedycją jego monografii. Ale warsztat uczonego najlepiej poznaje się na seminariach magisterskich i miałam okazję na IV i V roku poznać seminaria Profesora Szweykowskiego i Profesora Ziomek, ponieważ wówczas musieliśmy zaliczać dwa seminary, o czym do dziś myślę z wdzięcznością³.

Seminarium prof. Szweykowskiego pamięta się całe życie, bo jego tematy były głęboko przemyślane i miały wyraźny cel edukacyjny. Zadziwiała obyczajność Profesora, który nie mitygował i nie poprawiał dyskutantów, pozwalał na swobodne, długie wypowiedzi i każdy pojedynczy

² Irena Kotlińska-Dudzińska po studiach wybrała karierę aktorską i grała w teatrach dramatycznych we Wrocławiu i w Poznaniu.

³ W opisach seminariów wykorzystuję swój artykuł *Pożegnanie z dydaktyką*, „Polonistyka” 2011, nr 10.

głos natychmiast mądrze podsumowywał. Toteż dyskusje na seminarium ciągnęły się z reguły przez 2 – 3 tygodnie. A na samym końcu, kiedy już wszyscy seminarzyści się wygadali, Profesor robił obszerny merytoryczny wykład. Zapamiętałam szczególnie dwa tematy z seminarium AD 1961/62. Jeden to *Literacki start Dygasińskiego: opowiadanie „Za krowę”*. Dyskusja nad tym szokującym utworem (w którym za kradzież krowy morduje się człowieka) toczyła się długo, a poprzedzała ją zawsze z rozmachem rysowana na tablicy tytułowa bohaterka utworu – krowa – którą chyłkiem zmazywano, gdy Profesor wkraczał do sali. Bo prof. Szweykowski miał wielki autorytet, nie uchodziło, żeby w jego obecności na tablicy widniały jakieś bazgroły. Podsumowaniem dyskusji był wykład Profesora o naturalizmie, jego założeniach i jego konsekwencjach w utworach narracyjnych, dotyczących motywacji i literackiego opisu, które rysowały się wyraźnie na omawianym przykładzie.

Drugi pamiętny temat z seminarium Profesora Szweykowskiego to *Dwie redakcje „Szkiców węglem” Henryka Sienkiewicza*. Różnice między wskazanymi tekstami miały charakter typowo redakcyjny i wydawały się drobne: ot, skreślenie jakiegoś przymiotnika, zastąpienie jednego wyrazu innym. Ale te pozornie małe poprawki zmieniały wymowę całego utworu. Pierwsza redakcja *Szkiców węglem* była niesłychanie ostra, wręcz sarkastyczna, nie oszczędzająca nikogo i niczego. Wystarczy podać jeden przykład: gdy nieszczęsny Rzepa mówi: „zaprzędali mnie – jako Żydy Chrystusa”, następuje ironiczna uwaga narratora, że Chrystus godząc się na ofiarę, nie był pijany. Zmieniono ją później na: „Chrystus w innych nieco warunkach został zaprzędany faryzeuszom...”. Temat wywołał na seminarium istną burzę, a podstawowym pytaniem było: **dlaczego** Sienkiewicz tekst zmienił? Dlaczego z pierwotnego zapisu zrezygnował? Dociekaliśmy przyczyny poprawek i skreśleń w intencjach autora, w jego poglądach i zamiarach. A kiedy wyczerpał się zapal dyskutantów, zabrał głos pan Profesor i poinformował nas, że Sienkiewicz napisał *Szkice węglem* w Ameryce, tekst wysłał pocztą do kraju i nie mógł sam wprowadzić żadnych zmian. Przewidując kłopoty z carską cenzurą, planował, że w ostateczności wydrukuje go w Poznaniu, u Żupańskiego. Odnalazł się nawet zecerski egzemplarz, na którym dokonano skreśleń dwoma kolorowymi ołówkami: brązowym i niebieskim. Jeden (tylko nie wiadomo który) przypuszczalnie należał do cenzora, drugi, a może nawet oba ołówki należały do redaktora „Gazety Polskiej”, Edwarda Lea, który tekst opublikował w odcinkach w 1877 roku. To Leo dokonał skreśleń, a może nawet sam własnoręcznie tekst ocenzurował, ażeby dopuszczono go do druku. Na tak wymownym przykładzie Profesor Szweykowski uczył nas szacunku dla faktów i wagi historycznoliterackiego kontekstu. Pokazywał, że najpierw trzeba zapytać o genezę dzieła, dowiedzieć się, gdzie i kiedy powstało, a dopiero później je analizować. Ale dla mnie, studentki IV roku, postępowanie Profesora było bulwersujące i wywołało bunt. Jak to? Tyle godzin dyskutujemy o intencjach autora, żeby

się dowiedzieć, że cała dyskusja jest bezprzedmiotowa? Że sprawcą poprawek nie był on, tylko redaktor Leo? A Profesor o tym wie i milczy. Czułam się osobiście oszukana, a wyznaczone przez Profesora historycznoliterackie terytorium, po którym się poruszaliśmy, wydało mi się spenetrowane, zamknięte, ciasne. Z biegiem lat dawny bunt wygasał, coraz bardziej ceniłam literaturoznawcze rzemiosło, a także rolę Mistrza, który je tak znakomicie potrafił zademonstrować. Bo przecież *Dwie redakcje „Szkiców węglem”* to zapadający w pamięć świetny temat dydaktyczny. Pokazuje, jak drobne poprawki stylistyczne zmieniają wymowę utworu i mogą stanowić punkt wyjścia zarówno do pytań aktualnych (czy redaktor ma prawo samowolnie zmieniać cudzy tekst?) i do problemów edytorskich (która wersja powinna być drukowana? Autorska czy cenzorska?), jak i do ocen historycznoliterackich (jaką rolę w kulturze polskiej odegrała dziewiętnastowieczna cenzura?). Profesor Szweykowski był doskonałym nauczycielem, wprowadzał w konteksty historycznoliterackie, wytyczał drogę, na której jego uczeń mógł czuć się bezpiecznie i pewnie.

Profesor Ziomek - znakomity inspirator

Profesor Ziomek wykładał dla IV roku literaturę współczesną. Kreślił sylwetki powojennych pisarzy – spierał się z nimi, chwalił i atakował. Z tych błyskotliwych szkiców wyrosły dwie książki: *Wizerunki polskich pisarzy katolickich. Szkice i polemiki* (1963) i *Kazimierz Brandys* (1964). Kłóciliśmy się między sobą, które wykłady są lepsze: historycznoliterackie dociekania Szweyka czy krytycznoliterackie portrety Ziomek, który analizował poetykę utworów i tajniki stylu. Obaj profesorowie mieli grono swoich wyznawców...

Ziomek lubił techniczne nowinki i zachowywał się niekonwencjonalnie. Nie dbał o profesorską powagę, jeździł na motorze, a nie był to sprzęt wysokiej klasy, bo bywało, że motor nie chciał nijak zapalić, a wokół gromadził się wianuszek dzieci, ciekawych, czy pojedzie, czy nie pojedzie? Kiedy nastąpiła era mikrofilmów i katedra zaopatrzyła się w czytniki, był chyba pierwszym, który z nich z entuzjazmem korzystał. Chciał ułatwić sobie pracę, oszczędzić czasu w Bibliotece Uniwersyteckiej i mikrofilmy przestudiować u siebie w gabinecie. Dostałam (płatne) zlecenie, aby wszystkie prace o Zawieyskim ściągnąć do czytelni, przeczytać, wyeliminować małe i nieważne notki, a resztę przekazać do sfilmowania. Pamiętam, że wypełniłam sterty rewersów i załadowałam czasopismami dwa wózki biblioteczne. Ale czy Profesorowi mikrofilm ułatwił pracę? Nigdy nie przyszło mi do głowy o to zapytać. Sama traktuję czytnik jako dopust Boży: mikrofilm spada, korbki nie chcą się kręcić, a okienko nijak nie daje się nakierować na to, co akurat jest potrzebne. Tak wyglądała nowoczesność w latach 60. Jeśli ktoś nie wierzy, niech sprawdzi – ten archaiczny sprzęt stoi jeszcze w bibliotece.

Podczas przygotowywania źródeł dla profesora Ziomka spotkałam zapalonego teatrologa – Zbyszka Osińskiego. Wypytał mnie, co robię i zdziwił się: ty dokonujesz selekcji materiału? Miał wątpliwości, twierdził, że to powinien wykonać sam badacz. Niedługo później przekonałam się, że miał rację. Otóż w międzywojennym „ABC” znalazłam notkę Stanisława Piaseckiego. Nie wiedziałam, kto to był. Notka była krótka, na pierwszy rzut oka kwalifikowała się do odrzucenia. Ale po przeczytaniu coś mnie zastanowiło, zawahałam się i – skierowałam ją do sfilmowania. I później zobaczyłam, że w opublikowanym w *Wizerunkach...* tekście profesor tę notkę wykorzystał! Okazała się ważna, a tak niewiele brakowało, bym ją wyeliminowała! I pomyślałam sobie, czy pan Profesor nie za bardzo ufa niedouczonej studentom...

Nie tylko ufał, także liczył się z naszym zdaniem. Za moich czasów Koło Polonistów było niezwykle ruchliwe – jeździliśmy na sesje do Lublina, Torunia, Wrocławia, Krakowa. Byliśmy także w Warszawie na spotkaniu z Przybosiem i wykładzie prof. Macieja Żurowskiego o teorii Ingardena. Wyszłam z wykładu zachwycona – otworzył inny świat, pokazał dzieło literackie w nowej perspektywie. Toteż po powrocie z Warszawy zadałam Profesorowi pytanie, dlaczego u nas nie ma takich wykładów? Profesor nic nie powiedział, ale w następnym roku wykład już był! Rozpoczął się 11 października 1962 i nosił tytuł *Morfologia dzieła literackiego*. Już na wstępie Profesor sformułował tezy dotyczące literatury: podkreślał językową naturę dzieła i charakteryzował je jako twór wysoko zorganizowany, którego poszczególne elementy „nie znaczą”, którego struktura dopiero „znaczy”. Był to pierwszy wykład, który wprowadzał nas w rejony nowej XX-wiecznej metodologii, zapowiedź „zwrotu lingwistycznego” w nauce o literaturze.

Obok szeroko potraktowanej językoznawczej semantyki Profesor pokazywał, że można wykorzystać metody matematyczne w badaniach literackich. Demonstrował swoje pomysły, skryształizowane później w książce *Staff i Kochanowski. Próba zastosowania teorii informacji w badaniach nad przekładem* (1965). Oczywiście, kiedy mówił o teorii informacji, sala nagle topniała. Poloniści chcieli studiować literaturę, nie matematykę. I trudno się dziwić, chociaż warto pamiętać, że na uniwersytetach królowały wówczas metody genetyczne, teoria literatury dopiero zaczynała się odradzać, pod wpływem przedwojennych inspiracji czeskich i rosyjskich. No i nie było podręczników (równocześnie został opublikowany *Zarys teorii literatury* (1962), trzy lata później książka Henryka Markiewicza *Główne problemy wiedzy o literaturze* (1965)). Wykład Profesora Ziomka z 1962 roku dopiero przecierał szlaki. Po jakimś czasie Profesor zmienił tytuł z *Morfologii...* na *Teorię literatury* i wykladał ją całe życie – do śmierci w 1990 roku. Lubił wykłady i nigdy się nimi nie nudził. Stale modyfikował i wzbogacał problematykę o nowe pomysły i przemyślenia, ale charakter wykładu pozostawał bez zmian: zawsze był to autorski

przeгляд ciekawych problemów, nad którymi pracował, a nie kierunków i szkół metodologicznych⁴.

Seminarium Profesora Ziomka AD 1961/62 miało inny charakter niż seminarium Profesora Szweykowskiego. Poświęcone było literaturze XX wieku, ale nie przedmiot rozważań był tu najważniejszy, tylko metoda wtajemniczania w arkania polonistycznej wiedzy. Nie było tam ostrego podziału na polifonię studenckich głosów i rozstrzygający kontrowersje wykład profesora, tylko wymiana myśli. Dlatego zatarły się w pamięci konkretne tematy i przebieg zajęć. Pamiętam za to nieustanne dialogi toczone z Profesorem, który żywo reagował na każdy problem. Otwierał przed nami nowe terytoria, stawiał pytania, sygnalizował alternatywne odpowiedzi. Mówił: nie wiem, jak jest. Sprawdź, zobacz, szukaj. Często szokował, bo kwestionował założenia, które student przyjmował bezrefleksyjnie i których sam sobie nie uświadamiał. Na wstępie kazał nam napisać interpretację *Pierwszej przechadzki* Staffa. Wszystko pilnie przeczytał i każdy tekst po kolei omówił. W moim zahaczył zdanie implikujące wysoką ocenę tego wiersza. Preczytał je głośno i spytał wątpiącym tonem: „Czy to takie arcydzieło?” Wystarczyło, żeby uczulić na sądy wartościujące i problematykę aksjologii. A kiedyś (już po studiach), kiedy ostro wypowiedziałam się o cenzurze, usłyszałam coś, co wywołało wstrząs: „A ty byś wolała, żeby cię cenzurował Ostrów Tumski?” Jakże to, pomyślałam, czy nie możemy żyć bez cenzury? Czy zawsze musi być jakiś szlaban? Jak nie polityczny, to religijny, obyczajowy, światopoglądowy? Okazuje się, że ten problem stał się właśnie teraz niezwykle aktualny...

Tematyka seminariów wiązała się ściśle z zainteresowaniami Profesora Ziomka, z jego pasjami, którymi zarażał studentów i pracowników. Po literaturze współczesnej nastąpiła w jego życiu „epoka teatralna” – prowadził seminarium teatrologiczne, korespondujące z jego pracą w teatrach Zielonej Góry i Poznania⁵, co zaowocowało artykułami o Witkacym i o semiotyce teatru. Wymagał samodzielności, kształcił badaczy. Stawiał pytania, inspirował, ale rozwiązania problemów każdy musiał poszukać sam.

⁴ Obszerniej o wykładach prof. Ziomka piszę w artykule *Strukturalizm i semiotyka w pracach Jerzego Ziomka*, w zbiorze: *Strukturalizm w Europie Środkowej i Wschodniej*, 2012, Ulicka D., Bolecki W. (red.), Warszawa.

⁵ Prof. Ziomek był kierownikiem literackim Teatru Lubuskiego w Zielonej Górze (1967-1971) i Teatru Nowego w Poznaniu (1972-1973).

